

# Stanisław Kubiak

---

## Bójka czy pobicie? : (kilka uwag na tle praktyki)

---

Palestra 2/2(6), 26-34

---

1958

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

STANISŁAW KUBIAK

adwokat

---

## Bójka czy pobicie?

(Kilka uwag na tle praktyki)

Sprawy wynikłe z bójek i pobicia stanowią poważny odsetek spraw rozpoznawanych przez sądy. Z opublikowanego przez Jerzego Bafię<sup>1</sup> materiału statystycznego opracowanego przez Ministerstwo Sprawiedliwości wynika, że spośród 207 146 osób prawomocnie skazanych w 1955 r. przypada na uczestników bójek 7 420 osób, tzn. przeszło 3,5%. W statystyce tej chodzi o bójki z użyciem niebezpiecznych narzędzi oraz o bójki, których skutkiem jest śmierć albo ciężkie lub bardzo ciężkie uszkodzenie ciała.

Liczba takich przestępstw i ich społeczne skutki powinny mobilizować praktykę do zwrócenia szczególnej uwagi na ten rodzaj przestępczości. Wydaje się jednak, że zarówno dochodzenia prowadzone w tych sprawach przez organy Milicji Obywatelskiej, jak i samo orzekanie na podstawie wnoszonych przez te organy aktów oskarżenia wykazują jedną zasadniczą wadę: mianowicie i Milicja Obywatelska, i sądy nie prowadzą swej pracy o tyle wnikliwie, żeby można było wyraźnie oddzielić wypadki bójek od wypadków pobicia. Zdaniem moim, stan ten jest wynikiem alternatywnego sformułowania przepisów artykułów 240 i 241 k.k. oraz nieuwzględniania przepisu art. 21 k.k. o obronie koniecznej.

Kodeks karny niejednokrotnie stosuje w części szczególnej alternatywy. W przepisach artykułów 240 i 241 chodzi o zrównane pod względem sankcji dwa różne stany faktyczne: bójkę i pobicie człowieka. Stosowanie przez kodeks karny alternatyw pociąga za sobą niepowtarzanie pewnych istotnych dla określenia rodzaju przestępstwa cech przestępstwa, a tym samym — zmniejszenie liczby artykułów części szczególnej. Czy jest to celowe

---

<sup>1</sup> Zob.: Chuligaństwo w sądowej statystyce przestępczości. „Nowe Prawo” nr 4/57, str. 62 i nast.

w rozważanym przeze mnie wypadku? Mam pod tym względem poważne wątpliwości. Alternatywa bywa często nie dostrzegana zarówno w dochodzeniu prowadzonym przez organy Milicji Obywatelskiej, jak i na przewodzie sądowym.

Nie ma omawianych wątpliwości w czasie prowadzonego dochodzenia (i w związku z tym akt oskarżenia słusznie zarzuca pobicie) tylko wtedy, kiedy wyraźnie kilka osób pobije jedną osobę. Jednakże stany faktyczne, które mogą wypełnić dyspozycje artykułów 240 i 241 k.k., są bardzo różnorodne. Niejednokrotnie zajście jest bardzo rozgałęzione: bierze w nim nieraz udział nawet kilkanaście osób, tworzą się wyraźne grupy uczestników zwalczające się wzajemnie. Bywa tak, że jedna grupa pobije drugą, przy czym wszyscy z grupy bijących wychodzą z zajścia bez szwanku. Bywa też i tak, że napadnięci obronią się skutecznie i przepędzą napastników, tak że ci ostatni mogą nawet być poturbowani przez broniących się. Prowadzący dochodzenie przejawiają jednak tendencję do upraszczania zagadnienia i do sprowadzania wszystkich przedstawionych wyżej wariantów takich czy innych zajść do bójki. W rezultacie dochodzenie kończy się sakramentalnym aktem oskarżenia, który o udział w bójce oskarża wszystkich uczestników zajścia bez względu na ich rolę w tym zajściu. Ten brak należytej analizy czynów poszczególnych uczestników zajścia uważam za duży błąd. Zrodzony jeszcze w dochodzeniu, trwa on już aż do końca postępowania: sugestywnie prowadzone dochodzenie zakończone aktem oskarżenia ciąży na postępowaniu przed sądem powiatowym, który nie może się wyzwolić spod tej sugestii aktu oskarżenia i z kolei przekazuje ją wraz z wyrokiem skazującym sądowi rewizyjnemu, a ten ostatni z reguły nie naprawia błędu tkwiącego w samym założeniu dochodzenia.

Zajścia, o których mowa, trafiają — jak wiadomo — do sądu, jeżeli w ich wyniku nastąpił u jednego choćby z uczestników zajścia co najmniej poważniejszy rozstrój zdrowia trwający przeszło 20 dni albo jeżeli uczestnicy używali niebezpiecznych narzędzi. Niejednokrotnie uczestnik zajścia, u którego nastąpił wspomniany rozstrój zdrowia, też jest obejmowany aktem oskarżenia, bez względu na to, czy był faktycznie uczestnikiem bójki, czy też padł tylko ofiarą pobicia. Więcej nawet, dyspozycja wspomnianego przepisu art. 240 k.k. nie wyłącza sytuacji, w której pobite są dwie osoby przez pozostałych uczestników zajścia, toteż rozstrój zdrowia dwóch osób (uczestników zajścia) nie wyłącza konstrukcji aktu oskarżenia o pobicie. Przy przebijającej w dochodzeniu tendencji do określania każdego opisanego wyżej zajścia jako bójki pozbawia się napadniętego prawa obrony zarówno przez niego samego, jak i przez ewentualnych jego obrońców, którzy by mu przyszli z pomocą. Któż bowiem chciałby bronić napadniętego,

jeżeli grozi mu za to akt oskarżenia, a nawet areszt przed rozprawą? Dlatego też dochodzenie musi być przeprowadzone wnikliwie, tak aby akt oskarżenia był prawidłowy, a wyrok skazujący spadał tylko na winnych.

Słuszność mojej tezy postaram się udowodnić za pomocą dwóch przykładów z praktyki.

W jednym wypadku zajście zaczęło się od tego, że na skutek drobnego nieporozumienia o właściwą trasę przepędu bydła pewien dorosły mężczyzna uderzył kijem dwóch małoletnich chłopców. Kiedy o krzywdę małoletnich upomniał się ich ojciec, wspomniany napastnik zranił interweniującego ojca motyką, powodując m. i. złamanie kości czaszki i wstrząs mózgu, a poza tym krewny napastnika, przywołany przez niego na pomoc, uderzył siekierą jednego z chłopców, przecinając mu ścięgna dłoni i powodując niedowład trwały tejże dłoni. Chociaż stan faktyczny wydawał się tu najzupełniej jasny, został sporządzony akt oskarżenia przeciwko wszystkim czterem osobom za udział w bójce. Wydaje się, że przecież powinien być sporządzony akt oskarżenia tylko przeciwko dwóm napastnikom, którzy zresztą z zajścia wyszli prawie bez szwanku. Tymczasem i ojciec, i syn zostali oskarżeni o udział w bójce, w wyniku której odnieśli ciężkie obrażenia, pomimo że ich akcja miała wyłącznie charakter obronny. Nie wydaje mi się, aby mógł się znaleźć taki ojciec, który by nie bronił swego dziecka przed napaścią dorosłych ludzi, posługujących się w dodatku motyką i siekierą. Czy jednak prawo spełni tutaj swą wychowawczą rolę, jeżeli taki ojciec — obrońca rodzonego dziecka zostanie za swoją obronę skazany? Jestem głęboko przekonany, że po takim procesie ludzie wyjdą z sądu głęboko rozczarowani do prawa i do sądów.

W innym zaś — równie jaskrawym — wypadku zajście rozpoczęło się na weselu, kiedy nieproszony gość, zresztą pijany, nie chciał usłuchać drużby, który zamierzał odsunąć stół, aby zrobić miejsce dla tańczących, i w związku z tym zwrócił się do wspomnianego gościa z prośbą, by ten pozwolił na przesunięcie stołu do ściany. Wobec bezskuteczności swojej prośby drużba zwrócił się o pomoc do swego brata, członka ORMÓ. Ten ostatni, w poczuciu ciężącego na nim obowiązku, interweniował taktownie, perswazją. Padł jednak zemdlony na podłogę od uderzeń w głowę kluczem francuskim i butelkami. Uderzenia te spowodowały wstrząs mózgu ormowca i paratygodniowy jego pobyt w szpitalu. Pozostali uczestnicy zajścia wyszli bez obrażeń. Nasuwa się pytanie, kto i o co został tu oskarżony? Otóż wszyscy zostali oskarżeni o udział w bójce: i wspomniany jedyny ciężko poszkodowany członek ORMÓ, i brat jego — drużba, który, wyrывая napastnikowi z ręki klucz francuski, obronił ciężko poszkodowanego od niechybnej śmierci, i wreszcie napastnicy, sprawcy ciężkiego rozstroju zdrowia

niefortunnego interwenienta. A jak być powinno? Nie ma chyba wątpliwości, że tylko napastnicy powinni być oskarżeni o pobicie ormowca.

Czy postępując w ten sposób można liczyć na samorzutne zwalczanie przez społeczeństwo tzw. chuligaństwa? Wydaje się, że tego rodzaju tendencja przejawiająca się w dochodzeniu i orzekaniu nie zwalcza, lecz wynagradza chuliganów. Dał chyba temu najjaskrawszy wyraz przeprowadzony niedawno proces Jana Łojasa przed Sądem Wojewódzkim w Krakowie: wśród licznych uczestników zajścia w gospodzie, poprzedzającego zamordowanie Marka Ormana, nie znalazł się nikt, kto powstrzymałby przyszłego mordercę. Trzeba się poważnie zastanowić nad tym, czy to przypadkiem nie błędne akty oskarżenia i nie błędne orzeczenia sądowe są winne temu, że ludzie obecni przy zajściu zamiast je likwidować, uciekają od niego.

Oczywiście znacznie łatwiej potraktować w dochodzeniu wszystkich uczestników jednakowo jako podejrzanych niż analizować żmudnie ich rolę w zajściu. To drugie zadanie wymaga zresztą dużego doświadczenia i znacznej wiedzy. Wydaje się jednak, że nadzór prokuratorski nad dochodzeniem jest właśnie po to, by wesprzeć organy Milicji Obywatelskiej praktyką i wiedzą, a nie po to, by ograniczać się do mechanicznego zatwierdzania aktu oskarżenia, opracowanego niejednokrotnie przez najniższe hierarchicznie jednostki Milicji Obywatelskiej, jakimi są posterunki w gromadach, bez krytycznego przy tym wniknięcia w przesłanki zawarte w materiale dochodzenia i w konkluzję aktu oskarżenia. Ale nawet wtedy, gdy taki niedoskonały akt oskarżenia trafia do sądu, rozprawa główna dostarcza sądowi przeważnie dostatecznego materiału, by należycie ustalić winę poszczególnych uczestników zajścia. Wyroki uniewinniające pokrzywdzonych, którzy bronili się przed napastnikami, byłyby ważnym sygnałem dla prokuratury, że pracuje ona źle.

Odpowiednie szkolenie pracowników MO prowadzących dochodzenia mogłoby podnieść jakość ich pracy. Gdyby nawet organy MO popełniły błąd i nie objęły aktem oskarżenia osoby, która powinna być nim objęta, w przekonaniu, że osobie tej przysługiwało prawo obrony koniecznej, wydaje się, że i tak większy efekt wychowawczy dałoby zwrócenie przez sąd akt sprawy do uzupełnienia dochodzenia w trybie art. 305 k.p.k. (w razie **bezpodstawnego pominięcia** w akcie oskarżenia uczestnika zajścia) niż uniewinnienie **bezpodstawnie** oskarżonego. Niestety, wyroki skazujące bez uwzględniania obrony koniecznej utwierdzają prokuratury w ich wadliwej praktyce.

Pragnąłbym być dobrze zrozumiany. Nie chodzi mi bynajmniej o nieobejmowanie aktem oskarżenia uczestnika zajścia tylko dlatego, że odniósł on poważne obrażenia w zajściu. Chodzi mi tu o tak wnikliwą analizę zaj-

ścia, aby wynikało z niej niezbicie, kto z uczestników był stroną atakującą, a kto atakowaną, kto zadał ciosy dla samej chęci ich zadawania, a kto zadał ciosy, broniąc się przed nimi. Chodzi — inaczej mówiąc — o to, aby analiza zajścia uwzględniała zastosowaną przez uczestników obronę konieczną, aby agresywny charakter jednych uczestników nie przesłaniał udziału w zajściu broniących się przed agresją, aby nie wrzucać do jednego worka wszystkich uczestników zajścia z wygodną dla prowadzącego dochodzenie etykietką: „uczestnicy bójki“. Zdaję sobie sprawę z trudności przeprowadzenia takiej analizy na gruncie niejednokrotnie bałamutnych, a często nawet stronniczych zeznań świadków i wyjaśnień uczestników zajścia. Nie można jednak zgodzić się z tym, by w sprawach tego typu panował — tak jak dotychczas — szablon. Zagadnienie obrony koniecznej powinno być stawiane w dochodzeniu jako pewnego rodzaju probierz oceny zachowania się poszczególnych uczestników zajścia. Wydaje mi się, że prowadzący dochodzenie powinien już z góry rozprawić się z ewentualnym później postawionym przez obronę zarzutem stosowania obrony koniecznej. Gdyby ten postulat był w dochodzeniu uwzględniony, niewątpliwie więcej byłoby aktów oskarżeń o pobicie, a znacznie mniej o udział w bójce, jak to ma miejsce obecnie.

Nie jest wykluczone, że błędne, jak mi się wydaje, orzecznictwo sądów może być do pewnego stopnia konsekwencją zbyt ubożego orzecznictwa Sądu Najwyższego w zakresie obrony koniecznej. Dość powiedzieć, że w okresie od 1944 do 1957 roku ogłoszono kilka zaledwie orzeczeń w tej materii.

Pierwsze z takich orzeczeń zostało ogłoszone w Zbiorze Orzeczeń Sądu Najwyższego — Orzeczenia Izby Karnej z 1947 r. pod poz. 26 (zeszyt I, str. 46 i n.). W rozpatrywanej przez Sąd Najwyższy sprawie chodziło o naruszenie spokoju domowego przez napastnika, którego zamach został odparty w drodze obrony koniecznej. Stan faktyczny sprawy, jakich wiele: oskarżony z powodu rozpoczęcia bijatyki przez inne osoby zażądał, by uczestnicy zabawy opuścili miejsce zabawy w domu jego ojca. Sąd Najwyższy uważa takie działanie za prawne. Za bezprawne natomiast uważa zachowanie się innej osoby, która opierała się temu, stosowała siłę i pobiła oskarżonego pięścią. Oskarżony — zdaniem Sądu Najwyższego — miał prawo bronić się przed pobiciem i miał prawo użyć siły, by wyrzucić opierającego się intruza. W drugim orzeczeniu z 1948 roku (ogłoszonym we wspomnianym Zbiorze, zesz. IV, poz. 96, str. 208 i n.) także chodzi o zamach na spokój domowy. Oskarżona odpierała ten zamach, łącząc i zniesławiając intruzów. Sąd Najwyższy przyjął, że oskarżona użyła koniecznego środka do odparcia zamachu, a więc działała w obronie koniecznej. Należy dodać, że pro-

blematyka obu tych wypadków dotyczy tylko jednego jedynego przepisu części szczególnej kodeksu karnego, mianowicie art. 252.

Oprócz tych całkowicie słusznych orzeczeń znalazło się także orzeczenie Sądu Najwyższego, które stało się przedmiotem namiętnego, i jak mi się wydaje, uzasadnionego ataku ze strony prof. Stanisława Śliwińskiego (zob. „Prawo i Życie“ nr 15 z dnia 18 listopada 1956 roku). Chodzi mianowicie o orzeczenie ogłoszone w „Orzecznictwie Sądu Najwyższego Izby Cywilnej i Izby Karnej“ z 1956 roku (zesz. III, poz. 39, str. 127 i n.). W orzeczeniu tym Sąd Najwyższy odmówił oskarżonemu prawa powoływania się na obronę konieczną z tego powodu, że podczas zajścia użył orczyka, a tymczasem pokrzywdzony dysponował „tylko“ biczyskiem. Sąd Najwyższy przypisał oskarżonemu, że „zdawał sobie sprawę z dysproporcji skutków, jakie może wywołać uderzenie biczyskiem a ciężkim, okutym orczykiem“. To ostatnie sformułowanie budzi szczególne wątpliwości, gdyż sam Sąd Najwyższy ustala w uzasadnieniu swego wyroku, że pokrzywdzony trzymał biczysko w ręku za cieńszy koniec. Można chyba przyjąć, że uderzenie cięższym końcem biczyska, a nie rzemieniem przymocowanym do cieńszego końca, także może wywołać poważne obrażenia ciała.

Opisany plon ilościowy powojennego orzecznictwa Sądu Najwyższego może być przyczyną tego, że sądy niższe dość nieśmiało i tylko wyjątkowo stosują obronę konieczną, zapominając o niej z reguły w wypadkach bójki lub pobicia. Wiadomo bowiem, jak wielki wpływ wywiera na niższe sądy orzecznictwo Sądu Najwyższego. Mimo to należy postulować, aby wszystkie sądy stosowały ściśle obowiązujące przepisy bez względu na to, czy istnieją w danej materii orzeczenia SN, czy też nie.

STANISŁAW RADZKI

adwokat

---

## Nabycie własności nieruchomości przez Państwo w trybie art. 34 dekretu o majątkach opuszczonych i poniemieckich

Uchwała Sądu Najwyższego z dnia 24 maja 1956 roku (i z dnia 26 października tegoż roku, kiedy nastąpiło jej uzupełnienie) wywołała już z chwilą jej ogłoszenia szereg zastrzeżeń, ujawniających się w dyskusjach prowadzonych kularowo. Ponadto została ona wyraźnie zakwestionowana przez sędziego S. Breyera („Państwo i Prawo“, zes. 6 z 1957 roku) co do trafności jej uzasadnień.

Zakwestionowanie to jednak nie wyczerpuje uwag ani co do nietrafności samej zasady, ani też co do sposobu jej przeprowadzenia. Między wierszami tego zakwestionowania daje się wyczuć zarzut, że nie można uznać za trafny pogląd, iż nabycie prawa własności nieruchomości może mieć miejsce bez jakiegokolwiek pozytywnego aktu woli i władzy przyszłego właściciela, a więc jedynie przez sam upływ terminu.

Zastrzeżenia pod adresem tej uchwały mogą być sformułowane wyraźnie, w sposób właściwie ujawniający brak harmonii między powszechnie uznanymi zasadami współżycia a treścią art. 34 dekretu, zinterpretowaną w omawianej uchwale.

Już sama norma ustawodawcza zawarta w tym przepisie nasuwa zastrzeżenia tak co do swej słuszności, jak i werbalnego ujęcia.

Wyraża ona zasadę nabycia „przez przedawnienie (zasiedzenie) tytułu własności majątków opuszczonych“.

Zaznaczyć w tym miejscu wypada, że w rozumieniu dekretu majątkiem opuszczonym jest „wszelki majątek (ruchomy i nieruchomy) osób, które w związku z wojną rozpoczętą 1 września 1939 r. utraciły jego posiadanie, a następnie go nie odzyskały“ (art. 1 pkt 1 cyt. dekr.).



Z tego lakonicznego ujęcia nie wynika wyraźnie, czy ustawodawca wziął pod uwagę, że utrata posiadania majątku nastąpiła w warunkach niespotykanego w dziejach gwałtu. A przy tym zważyć jeszcze trzeba i to, że Państwo, które wydało omawiany dekret, nie tylko nie mogło zapewnić swoim obywatelom należytej ochrony mienia, ale nie było nawet w stanie — przy pomocy zresztą przeważnej części cywilizowanego świata — udzielić ochrony bardziej doniosłym dobrom osobistym, jak zdrowie, życie i wolność.

Ten moment historyczny, mający znaczenie również dla stosunków prywatnoprawnych, nie znalazł swej właściwej wymowy ani w brzmieniu, ani w należyty sposób przeprowadzonych intencjach dekretu.

Niewątpliwie ze zdarzeń natury historycznej powstają nowe prawa. Do takich należy właśnie prawo sprecyzowane w omawianym dekrete. Jednakże do rzędu praw w ten sposób powstających zaliczyć należy także akty ustawodawcze likwidujące wojenne bezprawia.

Wystarczy tu przypomnieć Manifest Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego, aby odpadła potrzeba dalszego uzasadniania, że ustawodawca już w chwili wyzwolenia odczuwał wewnętržno-moralny nakaz likwidacji krzywd i szkód.

Wydaje się, że po likwidacji niemieckiej przemocy politycznej powinna przyjść kolej na usunięcie skutków wszelkich objawów przemocy w każdej dziedzinie życia, a więc i w sferze majątkowej. Zwłaszcza, że sfera ta miała już swoje prawne urządzenia, które powinny być respektowane przy planowanym usuwaniu skutków gwałtu.

Toteż nietrudno będzie w normach prawnych, wówczas obowiązujących, znaleźć przepis, który by się wypowiedział w kwestii prawnego znaczenia faktów wywołanych przez siłę.

Mamy pełną podstawę do tego, aby wyjść z założenia, że opuszczenie mienia nastąpiło wskutek gwałtów ze strony okupanta.

Gwałty te stworzyły pewien stan posiadania, który później przejęło Państwo Polskie. Czy jednak fakt takiego przejęcia mógł przekreślić okoliczność, że posiadanie zostało utracone przez gwałt najcięższego typu?

W momencie wydania dekretu obowiązywał Kodeks Napoleona. Uznawał on następującą zasadę, nie kwestionowaną nigdy przez żaden obrót społeczny: „Czyny gwałtu nie mogą (...) stanowić podstawy posiadania, skutkującego przedawnieniem“ (art. 2233 K.N.).

Dlatego też redakcja art. 34 cyt. dekr., że „Skarb Państwa i związki samorządu terytorialnego nabywają przez przedawnienie (zasiedzenie) tytuł własności majątków opuszczonych“ (co do nieruchomości — z upływem lat 10), może budzić zasadnicze zastrzeżenia.

Pierwsze z tych zastrzeżeń — to uwaga o charakterze werbalnym, że przez przedawnienie nie nabywa się tytułu własności, lecz samo prawo własności. Wydaje się, że uzasadnione jest twierdzenie, iż kwestia tytułu jest jedynie zagadnieniem natury dowodowej.

Jeśli zaś chodzi o samo powstanie prawa, to w sytuacji omawianej nie jest ono zależne od jakiegokolwiek „tytułu“, a tylko od zespołu faktów, wśród których czynnik czasu odgrywa jedynie rolę w zharmonizowaniu z innymi okolicznościami równie faktycznej natury. Są one ujęte w art. 2229 Kod. Nap., zgodnie zresztą z podstawami teorii prawa cywilnego, które w tym przedmiocie nie uległy zmianie od czasów Justyniana. Są to mianowicie warunki, którym musi odpowiadać posiadanie. Zbędne będzie wymieniać je wszystkie. Wystarczy zaznaczyć spośród nich tylko te, którym będzie przeczyć sytuacja faktyczna wywołana wybuchem wojny.

Zarówno prawo Napoleońskie, jak i nasze prawo rzeczowe (art. 2229 K.N. i art. 50, 296, 297, 300 prawa rzeczowego) wymagają posiadania pod tytułem właściciela.

Szczegółowa analiza różnic pomiędzy nabyciem przez przedawnienie ujętym w Kodeksie Napoleona a takim nabyciem ujętym w prawie rzeczowym — dla istoty naszych rozważań nie jest wcale konieczna, gdyż podstawowe zasady przedawnienia nie znajdują pokrycia w faktach, których konsekwencje reguluje omawiany przepis dekretu. Jest bowiem rzeczą oczywistą, że Państwo Polskie posiadania nieruchomości opuszczonych nie objęło pod tytułem właściciela. Przeciwnie, z całą stanowczością należy stwierdzić, że objęcie w posiadanie mienia opuszczonego wpływa tutaj z tak szczególnej sytuacji, iż wyłącza ona nawet powstanie tytułu domniemanego (*titulus putativus*).

Jest pewnikiem, że Państwo Polskie wiedziało o tym, iż wskutek okoliczności istniejących w chwili obejmowania w posiadanie mienia opuszczonego nie może ono należeć do Państwa. Można więc dojść do wniosku, że jest rzeczą nie do przyjęcia, aby w świetle redakcji art. 34 cyt. dekretu mogło rozpocząć swój bieg jakiegokolwiek przedawnienie.

Toteż Sąd Najwyższy wprowadza w tej sytuacji nową instytucję, „generalnie nie znaną polskiemu ustawodawstwu“, mianowicie instytucję przemilczenia. Jeżeli jednak przedawnienia nie można tutaj zastosować, to jeszcze łatwiej, bo bez uciekania się do przepisów ustaw, powinno się odrzucić owo uzasadnienie na podstawie przemilczenia, gdyż obowiązujące ustawodawstwo generalnie nie zna tej instytucji, szczegółowa zaś zasada prawa wyraźnie powołuje się na przedawnienie.

Jaki więc charakter będzie miało nabycie własności uregulowane w art. 34 cyt. dekretu?